

za sobą. Ciemność panowała tu zupełna. Rozległ się lekki trzask i w ręku Alfreda zajaśniała woskowa zapalnik.

— I to pokój kobiecy... — szepnął. — Skromnie umeblowany... To pewnie nauczycielki... Niema tu co robić.

Chciał wyjść, zatrzymał go jednak jakiś szmer. Zgasił więc zaraz zapalnik. Drzwi otworzyły się pomału. Lecz zaledwie poruszyła się klamka, Alfred leżał już na podłodze i z iście akrobacyjną zwinnością wsunął się pod łóżko.

— Baronowa! — szepnął do siebie, wysuwając cokolwiek głowę. — Niech Bóg nad nią czuwał!

Była to w istocie pani de Lagunan. Skierowała się poomacku do łóżka i zakreśliła guzik od przewodu. W górze na suficie zaświeciła się lampa. Potem podeszła do stolika, na którym stało pudełko drewniane do papierów. Z kieszeni wyjęła mały klucz, wsadziła do zamku i podniosła wierzch.

— Wybrała też czas do pisania listów! — mruczał do siebie „extra”. — Spiesz się z pisaniami zacna damo, bo muszę nakrywać do stołu!

Baronowa jednak nie siadła, ani nie zamierzała pisać. Wyjęła z za gorsu paczkę listów, włożyła je do pudełka, które zaraz zamknęła, a klucz starannie schowała do kieszeni.

— Ależ ona się trzęsie! — spostrzegł Alfred — a blada jak papier! Ach! Wreszcie!

Sfilował w sobie westchnienie ulgi. Baronowa znowu podeszła do guzika przewodu, zakreśliła go i wyszła. Udała się wprost do salonu.

Państwo Radoux już przybyli. Notaryusz, niski mężczyzna o siwych, poważnych bokobrodach i żona jego, wysoka, szeroka w plecach jak kirasyer kobieta, obsypana biżuterią, nadskakiwali Maksymowi Duref. Kamilla z nauczycielką rozmawiała na osobności.

— Panno Ludwiko! — zawołała słodko baronowa.

— Słucham pani?

Nauczycielka pospieszyła na wezwanie.

— Czy ma pani lak?

— Owszem.

— Może pani zechce odstąpić kawaleczek?

— Zaraz pójde po niego.

Pani de Lagunan poszła za nauczycielką, która weszła do swego pokoju pierwsza, by zapalić lampę.

„Extra” tymczasem, gdy został sam, wy dobył się czempredzej z swej kryjówki i zaświecił drugą zapalnik.

Cały był pokryty kurzem.

— Panno Małgorzato — szepnął do siebie — nie często wyciera pani kurz z pod łóżka!

Na komodzie ujrzał szczytkę do czyszczenia ubrania, którą zaczął się czyścić. Zaledwie jednak skończył, gdy z korytarza doleciał go nowy szmer. Położył szczytkę na tem samem miejscu i zgasił światło. W chwili tej otworzyły się drzwi, a jednocześnie „extra” jak wąż wślizgnął się znowu pod łóżko.

Ludwika po zaświeceniu podeszła do stołu, wyjęła z portmonełki mały klucz i otworzyła pudełko z papierami.

Pani de Lagunan przysunęła się jeszcze bliżej.

— Proszę pani — rzekła Ludwika, podając jej lak i zakrywając pudełko.

Baronowa jednak powstrzymała ją.

— Przepraszam! Pani pozwoli? — Nachyliła się przytem i dodała:

— Tak... zdawało mi się, że nie widzę, listy adresowane poste-restante!

Nauczycielka nie zauważyła w pośpiechu paczki listów, leżących razem z innymi papierami. Spojrzała i oddech w niej zamarł. Chciała mówić, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Zdumienie, potem strach ją opanował.

— Ach! pani otrzymuje listy poste-restante! — ciągnęła dalej baronowa. Mówiąc to schwyliła paczkę i zaczęła czytać adres: „Panna L. D., biuro przy ulicy Bayen”.

Ludwika zdołała wreszcie wyjąkać:

— Co to znaczy?

— Co to znaczy? Domyślam się! — odrzekła surowo baronowa. — A zaraz przekonamy się, czy się mylę.

Wyjęła z koperty jeden z listów i rzuciła na niego wzrokiem, a potem dodała:

— Można powinszować pani! Ładnie się pani prowadzi.

II.

Państwo Cartelegate i inżynier Maurycy de Terrade wchodzili do salonu. Piotr, znany powszechnie szofer i przysły dziedzic sławnej fabryki samochodów, był młodym, dwudziesto-czteroletnim mężczyzną, wysokim, szczupłym, o jasnych włosach. Przystojny, elegancki, o skromnem ułożeniu, w oczach tylko zdradzał wielki zasób żywości. Ojciec jego, zawsze zapięty na wszystkie guziki, odznaczał się zimną i wyrachowaną grzecznością. Chciał uchodzić za dyplomatę, a podobny był tylko do modelu z dziennika mód. Matka jego była dobrą otyłą kobietą o czerwonej twarzy i bezustanku uśmiechającą się. Maurycy de Terrade przedstawiał typ istotnego politechnika. Mimo, iż młodą jego, trzydziestoletnią twarz ocieniał lekki dopiero, ciemny wąs, włosy jednak na głowie miał już przerzedzone, a za binoklami ukrywały się zaczerwienione od nadmiernej pracy oczy.

Zamieniono uściśnienia dłoni. Kamilla podczas chwilowej nieobecności matki sprawiała obowiązki pani domu, bez żadnego jednak zakłopotania, wszyscy bowiem goście byli dobrze znajomymi.

— Jak się ma droga mama pani? — pytała pani Cartelegate młodej panny.

— Bardzo dobrze, dziękuję... Zmuszona była napisać zaraz pilny list...

— A ojciec pani? — dowiadywał się Wiktor Cartelegate.

— Jeszcze nie powrócił... Ach! oto i mama!

W tej chwili ukazała się właśnie pani de Lagunan. Państwo Cartelegate, Radox i inżynier podeszli ku niej. Uściśnęła przybyłym dłonie i zwróciła się do córki:

— „Lambert i Durand” przysłali nam dzisiaj nowego służącego... — rzekła. — Nie wiem, jak się wywiąże ze swego zadania... Może pójdziesz dojrzeć wszystkich?... A kwiaty ustawiś sama?

— Dobrze, mam.

I Kamilla wyszła z salonu. Baronowa zwróciła się do gości:

— Teraz, gdy niema tu tego dziecka, mogę mówić otwarcie, ponieważ jesteśmy w ścisłem kółku.

— Co się stało? — zapytał Duref.

W oczach wszystkich malowało się to samo zapytanie.

— Proszę wyobrazić sobie — mówiła dalej pani de Lagunan — że przez najzwyczajniejszy wypadek znalazłam listy, adresowane do panny Dubois poste-restante... Przerzuciłam kilka z nich... Jako pani domu i matka byłam podwójnie do tego zobowiązana... I stwierdziłam, że korespondent naszej nauczycielki wcale nie skarżył się na jej niedostępność... Ma ona, jak się zdaje, serce bardzo czule...

Pani de Lagunan zrobiła małą pauzę.

— Doprawdy! — zdziwiła się z oburzeniem notaryuszowa.

— I komuż teraz można ufać? — odezwał się sentencyonalnie notaryusz.

— No, no! ładnie się prowadzi! — dodał Wiktor Cartelegate.

— Biedna mała! Jakże się prowadzi! — zawołała pani Cartelegate.

Maksym Duref i Maurycy de Terrade zadowolili się tylko krótkimi wykrzyknikami. Co zaś do Piotra Cartelegate’a, to ten zachował zupełne milczenie. Twarz jego stała się bladą, prawie białą, nikt jednak na to nie zwrócił uwagi. Spojrzenia wszystkich zwrócone były na panią de Lagunan.

— Proszę mi teraz powiedzieć — ciągnęła dalej baronowa — jak mam postąpić z tą nie-szczęśliwą... Jestem bardzo zakłopotana... Jest ona biedna i nie ma rodziców... Nie chcę jej odprawić bez świadectwa, które umożliwiłoby jej otrzymanie nowego zajęcia... A sumienie znowu nie pozwala mi, ani zatrzymać jej u siebie, ani ułatwić dostępu do innej rodziny.

I Łucya de Lagunan pokazała paczkę listów i dodała:

— Muszą jednak państwo sami się przekonać... Proszę siadać... Pan Radox będzie tak łaskaw i przeczyta nam je...

Wszyscy usiedli. Piotr Cartelegate padł prawie bezwładnie na krzesło, które stało za nim. Notaryusz usadowił się w fotelu i baronowa podała mu listy. Rozwinął je i zaczął czytać z namaszczeniem:

„Moja ukochana Ludwisiu, będę cię oczekiwał jutro o piątej na ulicy Godot 37.

Postaraj się wymknąć. Za pretekst posłuża ci sprawunki w Galeryi”.

Bladość Piotra Cartelegate’a wzmagała się. Twarz jego skrzywiła się boleśnie. Pan Radox czytał dalej z powagą prezesa sądu, odczytując jego wyrok śmierci:

„Jedź samochodem, by zyskać na czasie. Czas nie jest tylko pieniądzem. Bywa także i wtedy warto...”

Notaryusz nie mógł skończyć. Piotr Cartelegate jakby spoliczkowany ostatnim zdaniem, zerwał się z krzesła i wyrwał mu listy. Równocześnie powstał zaraz i wszyscy obecni. Duref i baronowa z udaniem zdziwieniem, inni z prawdziwym przerażeniem patrzeli, jak młody człowiek rozdziela w pośpiechu koperty i listy. Scena ta trwała może pół minuty. Wreszcie Piotr rzucił po chwili wszystkie listy, które rozleciały się w różne strony i nie mówiąc nic, ani nie patrząc na nikogo, wyszedł z salonu.

Nikt jeszcze nie zdążył otworzyć ust, gdy drzwi od ulicy zatrzasnęły się głośno. Młody człowiek popatrzył na ulicy na wszystkie strony, szukając oczami pojazdu, aż wreszcie dostrzegłszy przejeżdżający samochód dorózkę, podbiegł bliżej i zawołał do szofera:

— Daj mi swe miejsce!

— Me miejsce? Ale czy pan ma prawo kierować samochodem?

— Mam!

Piotr odsunął szofera i chwycił za kierownicę. Samochód ruszył z miejsca całym pędem. Konduktor, zaskoczony tą jazdą, złapał za rękę Piotra i zaklął:

— Cóż do dyabła! Czy pan zwaryował?

Samochód jednak mknął naprzód całą siłą. Szofer starał się, chwycić za kierownicę, lecz usłyszał te słowa:

— Nie ruszaj się, bo cię wyrzucę za kark. Domy i ulice migają tylko przed oczami jadących.

— Mnie nie zdarzają się wypadki — mówił dalej młody człowiek — co zaś do przejechania, to mogę za nie płacić.

Dojechali do placu Sw. Augustyna, gdzie cała masa najrozmaitszych pojazdów czyniła ciżbę nie do przebycia, Piotr jednak, nie zwalniając prawie, wymijał wszystkich z zadziwiającą zręcznością i wkrótce zostawił wszystkich za sobą.

— Teraz pana poznaję! — zawołał nagle szofer. — Pan jest Piotr Cartelegate.

Młody człowiek potwierdził to ruchem głowy.

— Dzisiaj rano widziałem pański portret. Ani nie marzyłem nigdy, by król stu dwudziestu koni kierował moim wozem. Co za honor!

Samochód skręcił na bulwar Hausmana, a w chwilę potem wyjechał na ulicę Godot. Piotr przypatrywał się domom i dojeżdżając do numeru 37, zatrzymał samochód. Wyskoczył zaraz z niego i spokojnie wszedł do bramy. Na spotkanie jego wyszła jakaś służąca.

— Tu mieszka pan Charley Turner? — zapytał.

Nazwiskiem tem podpisane były listy.

— Niema pana — usłyszał w odpowiedzi.

— A kiedy powróci?

— Nie wiem.

Do służącej zbliżył się jakiś chłopiec w białym fartuchu.

— Pan Turner bywa tu tylko niekiedy — zwrócił uwagę Piotra.

Król stu dwudziestu koni sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął kilka luidorów, które podał służącemu. Przyjęli je z głębokimi ukłonami.

— Jeżeli pan pragnie widzieć się z panem Turnerem — rzekł służący — to musi pan przyjść między piątą a szóstą, gdy ma rendez-vous.

— Ach! — zawołał Piotr — miewa rendez-vous?

Młody człowiek tylko z trudem zdołał panować nad sobą, drżał jednak cały. Służący domyślił się odrazu, że chodzi tu o jakąś sprawę miłosną. Odgadli, jakich on chce informacji i postanowili udzielić mu ich za otrzymane chojny datki.

— Rendez-vous z zawołowaną damą — mówił służący.

— Elegancko i skromnie ubraną — dodała służąca.

(Ciąg dalszy nastąpi).